OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 19 Kwietnia / 1 Maja 1867 roku.

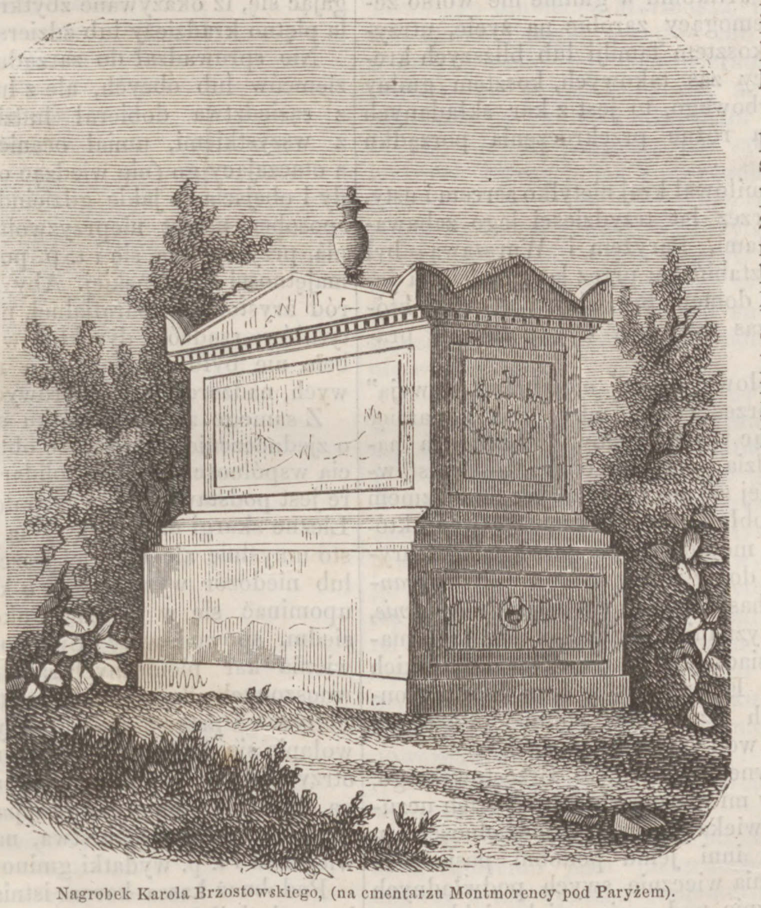
Nr 18. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok III.

KAROL Hr. BRZOSTOWSKI.

(Dokończenie.—Patrz Nr. 17).

Brzostowski objąwszy w zarząd dziedzictwo swych przodków, wkrótce postrzegł jak widzieliśmy, że z piasku bicza nie ukręci, że sama rola wśród borów, piasków i bagien nie podźwignie się, jeżeli jej nie przyjdzie z pomocą przemysł fabryczny. Dostrzegł on natychmiast tę prawdę, której wielu, bardzo wielu niestety dotąd pojąć nie może, czy raczej nie chce, bo to wymaga zbyt ciężkich trudów, pracy i myślenia.

Wyuczywszy się on wszystkiego teorytycznie i praktycznie, uczył zarazem i innych: najprzód dwóch, potem czterech, następnie dziesięciu i t. d. w miarę potrzeby, a wszystko ludzi miejscowych, których później zwykł był nazywać „własnemi dziećmi."



Nagrobek Karola Brzostowskiego, (na cmentarzu Montmorency pod Paryżem).

Idąc tą drogą z żelazną wytrwałością doszedł do tego, że w r. 1846 można już było zapisać w akcie urzędowym:

„Trzy fabryki istniejące w tych dobrach żywią i ułatwiają opłatę podatków mieszkańcom: fabryka szkła, odlewów żelaznych i machin rolniczych, wypłacają corocznie za wyroby i dostawy materjałów 20,000 do 25,000 rsr. Summa ta, każdego roku wpływa do rąk mieszkańców, którzy z zarobku tym większy zysk niż z roli znajdują... a ci co bezpośrednio w fabryce nie szukają zarobków, trudniąc się własnem oddzielnem rzemiosłem, doznają łatwości odbytu swoich wyrobów przez ogólny ruch pieniężny i łatwość zarobkowania ogółu ludności."

Niełatwo atoli przyszło Brzostowskiemu zaprowadzić te zmiany. Głównemi zaporami jakie znalazł, były: poniżenie włościan, ich zwątpienie, obojętność na wszystko i nałóg pijaństwa, który był bezwiednie następstwem ich rozpaczy.

Brzostowski zabijając źródło tej rozpaczy to jest nędzę, wytępił z gruntu opilstwo bez szkaplerzy i ślubów wstrzemięźliwości, pomimo, iż sam posiadał gorzelnię, dystylarnię wódek i araku, oraz ośm karczem—bo te nie były ku zbytkowi, a tylko ku potrzebie.

Dał pracę, dał zarobek a zarazem i oświatę za pomocą szkół, która nauczała pracować i żyć uczciwie.

Podobnież za staraniem Brzostowskiego znikła kradzież. Jak za króla Alfreda I znikł w Anglji ostatni wilk, tak w dobrach Sztabińskich, znikła ostatnia ochętka złodziejska.

Jak wysoko Brzostowski cenił czas robotnika, dowodzi tego rozporządzenie, żeby „każdego daremne przyjście do kassy lub kancellarji było mu zapłacone, skoro zmitrężenie jego czasu pochodzi z winy urzędników dworskich.” Wynagrodzenie to ustanowione było: dla dorosłego gr. 15, a dla nieletniego gr. 10.

Widząc ileto włóczenie się do miasteczek na targi niszczy włościan, odrywając ich od pracy około domu i gospodarstwa, oraz ich konie, założył we własnym dworze składy płótna, sukna, rzemienia, worów, przędzy, postronków, świec, oliwy, mydła a nawet kawy i t. d. Przedmioty te sprzedawał mieszkańcom swoich majętności po cenie kupna i utrzymania składu. Co większa wyprzedzając w tem samą Warszawę, założył Kassę Oszczędności, płacąc pięć od sta procentu.

W razie choroby każdy mieszkaniec zapewnioną miał pomoc lekarską. W czasie nieurodzaju lub drożyzny, wydawał ze swych składów zboże i siano po cenie niższej od targowej. W czasie cholery i innych klęsk, Brzostowski pierwszy śpieszył z pomocą.

Oprócz Kassy Oszczędności, była w Cisowie także Kassa Pożyczkowa.

Tak starając się wszystkiemi sposobami o polepszenie mienia mieszkańców swojej posiadłości, zaprowadził, że: „Nikomu w gminie nie wolno żebrać; ubodzy niemogący zarobić na życie, utrzymani być winni kosztem familji lub bliższych krewnych; niemający zaś takowych, kosztem gminy z funduszu Skarbowego, to jest z kar składanych do skarbonek za różne przekroczenia porządku społecznego.”

Brzostowski umiłował kraj nietylko sercem i usty, ale i czynem. Przez lat trzydzieści jego zabawami, teatrem, ucztami, Paryżem i Warszawą—był Sztabin i huta Sztabińska; przez lat trzydzieści jego rodziną, jego domem był Cisów, w około którego przez ten czas wzrastały trzy pokolenia pracowitych ludzi.

Pamiętny na słowa: „Czcij ojca i matkę swoją” zwalczył tyle przeciwności, aby uczcić pamięć rodziców. Pomnąc także na słowa Zbawiciela naszego: „Miłosierdzia chcę a nie ofiary.”—Brzostowski niczem bardziej się nie brzydził jak fanatyzmem religijnym, ową obłudą czyli faryzeuszostwem, które „przez długie modlitwy (jak powiedział Chrystus Pan) pożera domy wdów i sierot.” Nie *tolerancja* zatem była hasłem jego ale *równouprawnienie*, pod względem wyznania religijnego. Dla tego mając w swych posiadłościach nie tylko Rzymskich Katolików, ale i Ewangielików oraz Starozakonnych, wszystkich zarówno hojnie obdarował w swej ostatniej woli czyli testamencie.

Dalszem głównem staraniem Brzostowskiego, było obudzenie w mieszkańcach Sztabińskich uczucia godności człowieka, uczucia samodzielności. On nie pragnął jak inni jemu podobni posiadacze ziemscy, trzymania wiecznie swych podwładnych w kurateli, wiecznie pod swoją opieką, jakby małoletnich. Przeciwnie, wszelkie swe starania, wszelkie usiłowania zwracał ciągle ku temu, aby mieszkańcy Sztabińscy stali się samodzielnymi, aby się nauczyli żyć o własnej sile.

W tym celu między innemi zaprowadził on szkołę dla terminatorów fabrycznych, oraz kazał uczyć chłopców aplikujących w kancellarji. Żaden terminator nie mógł być wyzwolonym, dopóki sam własnoręcznie i z własnego pomysłu nie napisał o to prośby. Nawet od chłopców kuchennych i kredensowych, nie przyjmował żadnego żądania tylko na piśmie. Musieli się więc przykładać do nauki nawet w Niedzielę. Do dzieci włościańskich byli nauczyciele, którzy zimową porą przechodząc ze wsi do wsi, bawili w każdej dopóty, dopóki nie nauczyli dzieci czytać i pisać. Kar poniżających godność człowieka nie było; nawet areszt jako przyzwyczajający do próżniactwa, w końcu zniesiony został. Kary pieniężne obracane były na dobro powszechne.

W jednem swem rozporządzeniu Brzostowski tak pisze: „Wszyscy obowiązani są utrzymywać dla siebie rachunek swoich osobistych wydatków, żeby oswajali się z porządkiem i z tem przekonaniem, że człowiek uczciwy powinien dbać o szacunek ludzi a na to żyć tak, żeby mógł w każdej chwili przekonać każdego, iż utrzymuje się godziwie i że innych dochodów nie ma nad takie, których wstydzić się nie potrzebuje, oraz że nad te nie wydaje. Zasada ta moralności potrzebna jest wszędzie a tem bardziej w kraju i w czasach, gdzie wielu bezczelnie pyszni się ze swoich wydatków widocznie przechodzących ich płace lub dochody i myśli, że przez to imponują uczciwym ludziom, nie spostrzegając się, iż okazywane zbytki wybijają na ich czole piętno kradzieży lub zdzierstwa.”

Nie sprowadzał do zarządu lub fabryk cudzoziemców lub obcych, ale z ludu swoich dóbr lub z sąsiedztwa dobierał ludzi. Żyjąc codziennie z wszystkiemi, umiał ocenić każdego zdolności, a otaczający go (nie wiedząc o tem) nabierali ogłady i obejścia, o jakie gdzieindziej trudno. Tym to sposobem nawet nieprzyzwoite wyrazy, przeklinania, przysięgania się i t. p. powoli znikły z obrębu majętności Sztabińskiej. Aby zaś nie zaląg1 się zaród arystokracji parafjalnej, nie było tam żadnych tytułów: rządców, dyrektorów i t. p., a tym sposobem nie było żadnych pań rządczyń, dyrektorowych, nadzorczyń, kassjerowych i t. d.

Z samego zaraz początku szło Brzostowskiemu o zjednoczenie włościan, o obudzenie w nich uczucia wspólności, uczucia solidarności gminowej, które jest podstawą budowy społecznej całego kraju. Liczne skargi na szkodę, jaką jeden drugiemu często umyślnie ale częściej jeszcze przez niedbalstwo lub niedozór wyrządzał, a o które nie sposób było upominać się w Sądzie Pokoju odległym o mil siedm, spowodowały Brzostowskiego do ustanowienia kar pieniężnych za drobne przewinienia, wnoszonych do skarbonek utrzymywanych przez Sołtysów i przez nich zasądzanych, z możnością odwołania się do sądu ogółu Sołtysów. Fundusz ztąd otrzymywany, obracany był na wsparcie ubogich, na zapomogę uległym przypadkowemu nieszczęściu, na lekarza i lekarstwa, na opłatę nauczycieli wiejskich i t. p. wydatki gminowe.

Podobnaż kassa karna istniała dla fabrykantów i rzemieślników.

W końcu Grudnia 1853 r. Brzostowski uczuł się chorym. Trudna do wyleczenia choroba wymagała udania się za granicę, gdzie też bawiąc w Paryżu umarł 25 Lipca 1854 r. w 59 roku swego życia. Lecz nawet sama śmierć nie położyła końca jego dobroczynnym czynon. W jednem miejscu swego testamentu tak przemawia:

„Włościanie, fabrykanci, oficjaliści i pomocnicy moi, oto są moje dzieci. Ja ich wychowałem; oni pracowali ze mną i pomagali mi do stworzenia funduszu, którym dziś dysponuję; z nimi żyłem i sumienie mi dyktuje obowiązek zabezpieczyć ich byt po mojej śmierci."

Testamentem tym wszyscy wymienieni wyżej, obdarowani zostali własnoscią gruntową lub uposażeniem pieniężnem. Tym sposobem utworzyła się po śmierci Brzostowskiego *Instytucja Rolniczo-Fabryczna Sztabińska*, jakiej nie ma ani w Niemczech, ani we Francji, ani nawet w Anglji, owych krajach słynnych już od niejakiego czasu przeróżnemi Spółkami i Stowarzyszeniami.

Ad. N. Nakęski.

PRZYJŚCIE WIOSNY.

Lubię ja was dni wiosenne,
Takie jasne i promienne!
Pełne woni, pełne kwiatu
I zieleni, ptasząt śpiewu;
Że nie starczy mi podziwu,
Ni na pędzlu farb szkarłatu,
Bym umiała tu powtórzyć,
Jak się Stwórcy podobało
Cudną czarodziejkę stworzyć,
Taką ją otoczyć chwałą!
Że gdy spływa nam z Niebiosów
Ziemia szczęściem promienieje,
Kwiat rozkwita, tyle głosów
Ptasząt, zwiastuje wesele,
Przyjście wiosny!...

Lubię ja was dni wiosenne,
Takie ciepłe i promienne!
Lecz w tem natury weselu,
Często mi też smutno bywa,
Gdy pomyślę że jest wielu,
Którym ciemna noc zakrywa.
Piękność wiosny, — kwiaty wiosny, —
Wesoły śpiew ptasząt głuszy,
Taki smutek w głębi duszy,
I boleści jęk żałosny!...
Myślę patrząc na mogiły,
Ustrojone w kwiatów wieńce,
Że tam pełni życia siły
Leżą starcy i młodzieńce,
A wiosna co bawi i smuci,
Już im życia nie powróci!

Lubię ja was dni wiosenne,
Takie jasne i promienne!
Aby uczcić jak przystoi,
Tę porę czasu godową,
Pragnęłabym być królową,
I mieć prawo już z tej mojej
Władzy i mocy korony,
Stworzyć szczęśliwych miljony!
Z niemi się wiosną dzielić,
Z niémi się w wiośnie weselić,
Bom jest samolubna taka,
Kiedy w duszy mej wesoło,
To chcę by wszędy w około,
Od człowieka aż do ptaka,
Wszyscy radość mą dzielili
I wszyscy szczęśliwi byli.
A nie tylko samolubna,
Ale jestem jeszcze dumna.
Kiedym smutna, to się kryję
By obce oczy... niczyje,
Nigdy tego niewidziały,
Że moje z bólu płakały!...

Liljana.

PAN HERBACJUSZ.

Szkic niefantastyczny.

PRZEZ

Aleksandra Osipowicza.

Ciocia pana Teofila, była bardzo rozumną acz nie bardzo młodą panną, a pan Teofil był bardzo przystojnym młodzieńcem. Ciocia umiała doskonale gotować kawę i sny tłómaczyć, a siostrzeniec zdolny był pochłaniać upodobane dozy owej wybornej kawy i spać snem bohatérów na zawołanie. Z woli Niebios zapewne miewał niekiedy tak dziwne sny, że ciocia informując się codziennie przy rannej kawie co mu się śniło ostatniej nocy i tłómacząc mu jego snowidzenia, doraźnie nieraz nieznajdowała we skarbnicy swej wiedzy klucza, do rozwiązania znaczenia owych sennych objawów. A ztąd gdy i notatki jej i książki o snach traktujące, w tych zajmujących ćwiczeniach umysłowych nic poradzić nie mogły, zdarzało się, że zacna ta istota spoglądała na swego Teofilka, jako na osobliwszego ulubieńca Morfeusza, bóstwa jak wiadomo zawiadującego snami — lub podejrzywała go o nadużywanie jej łatwowierności, vulgo kłamstwo, — ale przyznać należy, że podejrzenie takie ogarniało ją rzadko i odpychała je zawsze od siebie z należytą pogardą, nie sądząc, żeby w tak ważnych rzeczach jak rozważanie znaczenia snów, znalazł się kto tak nieoględny i sny wymyślone przez siebie, za prawdziwe przytaczał.

Czy pan Teofil w sny wierzył? czy miewał rzeczywiście sny tak szczególne i w tak wielkiej ilości? czy tylko improwizował sny owe dla dania zajęcia, ulubionemu ćwiczeniu ciotuni? — dzieje nic nie wspominają.

Pewnego razu widząc zacna ta istota, swego krewniaka strojącego się staranniej niż zwykle, uczyniła sobie dwie bardzo trafne uwagi w duchu: 1° że młodzieniec wybiera się gdzieś na wieczór w odwiedziny, i 2° że zamierza się komuś podczas tych odwiedzin podobać. Uwagi te zaś przypomniały jej, że rzadkim wyjątkiem ubiegłego poranku przy kawie nie pytała się go co mu się śniło ostatniej nocy, a ztąd niewiadomo czy odwiedziny i zamiar podobania się powiodą się młodzieńcowi, i czy nie odebrał czasem we śnie przestrogi, żeby wizytę i konkury do pomyślnej chwili odłożył? Refleksje te zniewoliły ją do stanowczego kroku.

— Wszakże dziś mamy Wtorek Teofilku? rzekła więc do niego rezolutnie.

— Wtorek cioteczko jak bursztyn, odparł młodzik, któremu jako pieszczochowi wolno było używać z nią wyrażeń studenterją tchnących.

— No to dobrze, bo żeby to był Poniedziałek lub Piątek, za nic w świecie nie puściłabym cię z domu.

— Ja sam ani nogą bym nie ruszył cioteczko, albo ja niewiem, że to dnie feralne?

— Dnie feralne wcale co innego mój panie, może dzień ten lub ów nie być sobie Poniedziałkiem, ani Piątkiem, a jednak być dniem feralnym, np. w te-

rąźniejszym miesiącu Czerwcu, mamy tylko dwa dni feralne 1-y i 8-y.

— A ponieważ oba już minęły, przeto nie mamy czego obawiać się z tej strony i mogę śmiało rzucić się w odmęt tego świata cioteczko?

— Za pozwoleniem — a sny?

— Aaaaa! patrz no cioteczko, zapomnieliśmy z kretesem o snach. Niechno ciocia tylko weźmie do rąk ów sennik, zaraz dowiemy się prawdy, a miałem sny siarczyste, słowo daje.

— Jakto? widziałeś pioruny we śnie? niespokojnie zawołała wróżbiarka, rozkładając przed sobą sennik na stole.

— Ej nie, to tylko wyrażenie mające oznaczać coś nadzwyczajnego, w czem jednakże ani siarki ani gromów nie było. Owóż tedy ciotuniu śniło mi się naprzód: żem miał fatalnie długie uszy, dłuższe niż u najstarszego osła, co mię bardzo martwiło we śnie i nawet teraz gdy to mówię doświadczam dziwnego wrażenia, tak jakby kto ustawicznie stojąc za mną szeptał: Teofilku osieł jesteś — alias koń Pana Jezusa!... No cioteczko, co znaczy osłem we śnie się widzieć, czy toż samo co na jawie?

— Ale te uszy twoje miały kształt ośli czy ludzki?

— Ludzki cioteczko, ludzki, ale rozmiary ośle.

— To wcale co innego mój drogi... oto widzisz, posłuchaj: „widzieć się z wielkiemi uszami, moc wielką znamienuje.”

— Moc wielką.... hm, zapewne w uszach, nie podejrzywałem siebie o to jednakże i zrzekam się tej mocy. Ale śniło się mi jeszcze ciotuniu, żem miał rozcięte nozdrza?

— „Nozdrza rozerznięte mieć, tryumf znamienuje.”

— Tryumf!? szczególny tryumf... a co znaczy szczwać zająca we śnie?

— „Zająca gonić, niewiastę sobie przyłudzić, znamienuje.”

— Żartuje cioteczka!

— Wcale nie żartuję, tak stoi w książcę.

— A co znaczy polowanie na cietrzewie?

— „Cietrzewia dostać, pannę pojąć za żonę, znamienuje.”

— No, to jeszcze wcale nie źle ciotuniu? widzę żem pod szczęśliwą gwiazdą urodził się na świat, zawołał wesoło młodzik, spoglądając z zajęciem na swój wizerunek w zwierciedle.

— A ręczę, że nie wiesz dotąd pod jakiem znakiem niebieskim urodziłeś się Teofilku?

— Ze wstydem wyznaję że nie wiem, ale domyślam się że pod Baranem.

— A to dla czego?

— Z wielu względów. Zdarza się mi rozbeczeć nad cudzą niedolą — a to natura barania. Daję się częstokroć okpić jak baran. Każdemu wierzę na słowo jak baran. A zresztą, lubię baraninę z czosnkiem — co wszystko naprowadza mię na domysł, że urodziłem się pod znakiem zwierzyńca niebieskiego, któremu miano Baran.

— Z takich rzeczy mój drogi żartować się nie godzi, bo te rzeczy mogą z ciebie kiedyś strasznie zażartować.

— To jest cioteczko, że jeżeli ja z barana zażartuję, to i baran może ze mnie zażartować? a niech żartuje sobie!

— Daj pokój Teofilu — proszę cię daj pokój nie bluźnij!.... żeby ci zaś odjąć chętkę do czegoś podobnego na przyszłość i żebyś wiedział pod wpływem jakiej planety przyszedłeś na świat, zaraz ci horoskop twój wyszukam.

Tu ciocia pana Teofila na ćwiartce papieru wypisała imię matki jego i jego imię obok. Pod głoskami składającemi te imiona wedle reguły zawartej w senniku, napisała regułą oznaczoną liczbę kresek. W szeregu tych kresek przemazała ilość ich przepisaną, a pozostała ich liczba przekonała ją: że młodzieniec urodził się nie pod Baranem, ale pod Bykiem.

— Pod Bykiem urodziłeś się mój kochany, sprawdziwszy dokładnie obrachunek, rzekła zwracając się do krewniaka, uważnie przypatrującego się operacji astrologicznej.

— No to jeszcze lepiej o ile sądzę; co byk to nie baran. I czegóż mam się spodziewać od mego ryczącego protektora z firmamentu?

Ciotunia czytała mu więc co następuje:

— „Jeżeli zostanie 3, 4, 5, (kresek z owego obrachunku) będzie znamienia bykowego, którego znamię jest wschód słońca, niewieście, gorące. Kto się pod niem narodzi, będzie człowiek sam sobie upatrując drogę, dobrą mowę mając, a nie będą zawsze wdzięczne uczynki jego....”

— Protestuję przeciw temu! zawołał Teofil.

— Nie przerywaj starszym, bo to nie należy do wdzięcznych uczynków, sentencyonalnie ozwała się wróżbiarka—i mówiła dalej:

— „A cokolwiek byłoby, dobrze — cudne lica mając (tu ciotunia zwróciła wzrok na swego krewniaka z uśmiechem oznaczającym: a co nie prawda? a krewniak zarumienił się z zadowolenia,) na obliczu mięszanego przyrodzenia (tu ciotunia nawiasowo zauważyła: faworyty czarne, wąsy bląd) będzie miał znamię na oku, ramionach lub piersiach (lektorka trzy razy kiwa głową), a będzie podczas milczący i tajemny.....”

— Protestuję!

— „Żadnego nie będzie słuchał..... (wymowna pauza dla zbudowania słuchacza) chcąc aby mu wierzono, aby był chwalon (rumieniec igra na licach słuchacza) będzie miał wysokie piersi; kiedy mówi to oczy stula, (pauza — słuchacz stara się oczy mieć otwarte), a pyszny (pauza — słuchacz wydobywa ręce z kieszeni i przybiera minę skromnisia); dom żywota jego Byk.”

— Jakto, mam mieszkać w Byku?

— Błazenek jesteś, odparła wróżbiarka nie spoglądając na chłopca i czytała dalej: „będzie miał szczęście. Dom zysku jego Bliźnięta, tego znaku będzie miał fortunę, cokolwiek będzie robił swojemi rękami. Będzie dobrowolny i prawdziwy (wymówne odchrząknienie ze strony słuchacza), który jeżeli się w nocy urodził będzie bogaty (chrząknięcie), jeżeli we dnie nie tak. Dom braci jego Rak, nie może być, tylko ma przemienić miejsce z jednej ziemi do drugiej, a będzie miał wszystko dobre. Dom rodziców jego Lew, tam nie ma nic ani sprzedawać ani kupować, przezwycięży ojca i matkę w żywocie (pauza—lektorka łzę ukradkiem ociera, słuchacz tłumi wydzierające się westchnienie i oczy zupełnie zmruża, a kropla jakaś stacza się z nich i przebiegłszy po policzku spada na ziemię). Dom synów jego Panna (roztworzone szeroko oczy słuchacza wyrażają zdumienie), więcej będzie przyrodzenia niewieściego niż męzkiego...”

— Protestuję!

— „Dom niemocy jego Waga, wielkie niemocy będzie cierpiał, a najwięcej w głowie. Dom złączenia jego Niedźwiadek, zgodną będzie miał żonę (słuchacz oblizuje się), więc tego znaku co pocznie to przyjdzie ku weselu i czci. Dom śmierci jego Strzelec, ma chodzić po cudzych krajach, ma żelazem być bity (słuchacz pokręca wąsa), ale będzie uzdrowion, a będzie darowan dobrym darem od kogo. Ma się warować od strzały."

— Kirgizkiej? czy indyjskiej?

— „Ma się warować od strzały (z przyciskiem powtarza lektorka), nie chodzić po wysokich miejscach. Dom potrzeby jego Koziorożec, będzie miał wiele dobrego od niego. Fałszywe świadectwa będą nań mówić ale ujdzie. Żywot jego rozdzielon, jeżeli ujdzie 8-miu przeżyje 77 lat, a szczęście jego we wszystkiej barwie, tylko nie w czarnej, a złotej. A nie ma przyłączać się człowiekowi mającemu zielone oczy."

— To się znaczy żebym nie zadawał się z amerykaninem! No niech i tak będzie. Horoskop akceptuję. Byk nie jest zwierzęciem mogącem ubliżyć czyjejś godności osobistej — w Egipcie go czczono pod nazwą Apisa. Wyraża użyteczną siłę połączoną z wytrwałością. A zna cioteczka ową dykteryjkę:

„Kiedyś wół
„Spotkał kół,
„Tuż trawę zieloną,
„Obok różę czerwoną"?

— No to cóż? ciekawie zagadnęła zapytana.

Młodzieniec mówił dalej tedy:

„Więc ten wół,
„Zbódł ten kół,
„Zorał trawę zieloną,
„I zjadł różę czerwoną."

— Ciebie zawsze trzymają się figle, mój kochany. Ale weźże kolorowy tużurek i zrzuć złotą dewizkę.

— Dla czego?

— Alboż nie słyszałeś? że w czarnym kolorze i złotym nie będziesz miał powodzenia? Proszę cię uczyń to dla mnie.

Młodzieniec w milczeniu zastosował się do woli swej krewnej i pocałowawszy ją w rękę, wybiegł na miasto.

Ciocia siedziała czas jakiś w zamyśleniu, a potem przy blasku zachodzącego czerwonego słońca, rozłożyła na stole jakiś zawikłany pasjans, śledząc za kombinacjami kart z miną niezmyślonej sybilli.

Tymczasem pan Teofil idąc śpiesznym krokiem, tak sobie rozmyślał:

— Wierzyć, czy nie wierzyć? Nie raz czytałem że podobne prognostyki i tłómaczenia snów sprawdzały się na świecie, chociaż co do mego horoskopu przyznam się, że go nic a nic nie rozumiem i nie pojmuję, dla czego imiona chrzestne matki i syna, mają posługiwać do udeterminowania, że ktoś, np. choćby ja sam urodził się pod Bykiem? Wybór imion jest rzeczą dowolną i zależy od woli rodziców ale nie dziecka, które jest wtedy niemowlęciem. Żeby imiona owe miały służyć za zasadę do wykrycia pod jakim znakiem niebieskim kto się urodził, to żeby mu dano na chrzcie inne imię, a matce jego inne, wypadłoby że się urodził pod innym znakiem... zgoła że zmianą imion możnaby sobie przyswoić cały zwierzyniec niebieski. To nie czysty interes, zasada co najmniej niekonsekwentna. Ale zresztą kto to wie? może ciała niebieskie rzeczywiście wpływ na nas wywierają? Przecież Szekspir powiedział: że jest wiele rzeczy na świecie o których ani się śniło naszym filozofom!

A co do snów... licho wie doprawdy czy śmiać się z tłómaczenia ich praktykowanego powszechnie, czy wierzyć... Przecież Józef wytłómaczył kiedyś Faraonowi sen krów tłustych i chudych... ha... zdaje mi się, że ci co najwięcej krzyczą że w sny nie wierzą, cichaczem dają im wiarę; jak znowu ci, co otwarcie przyznają się do wiary w sny, w duchu powątpiewają o ich znaczeniu. Dobrze zresztą ktoś powiedział: sen, mara—Bóg, wiara!

Kiedy kończył właśnie to rozmyślanie i podniósł oczy by spojrzeć kto mu drogę pod samym nosem w poprzek ulicy przeszedł, przekonał się że przeszła mu drogę baba dążąca z pustemi wiadrami po wodę do studni. Na widok baby przechodzącej mu drogę z pustemi wiadrami do tego, młodzieniec stanął jak wryty bo przypomniał sobie, że jeżeli przejście drogi przez babę wróży niepowodzenie, to baba z pustem jakiem naczyniem przechodząca komu drogę, jest stokroć niefortunniejszą przepowiednią. Splunąwszy tedy wedle reguły trzy razy: tfu! tfu! tfu! i wyrzekłszy formułę: *urok na psa*—zawrócił w zaułek zamierzając innemi ulicami dostać się do celu swej wycieczki.

Zaułek był błotnisty i prowadził w stronę rzeki, trzeba było przechodzić rynsztoki i wymijać kałuże, a że zaczynało już mieć się ku zmierzchowi, więc młodzian z wielką ostróżnością ciągnął przez ów zaułek, zabawiając się tymczasem myślami, jaki to on szczęśliwy że podbił serduszko pewnego bóstwa o modrych oczętach, bóstwa, którego rodzice zaprosili go na herbatę!.. co za szczęście pić herbatę za jednym stołem z bóstwem! być formalnie zaproszonym na taką herbatę! dążyć na taką herbatę pod najpomyślniejszą wróżbą snów i horoskopu!!!

A miałże wątpić o swem szczęściu, o swym tryumfie, kiedy to bóstwo raczyło z nim parę razy tańczyć, parę razy roześmiać się z jego dowcipów?... kiedy to bóstwo nie zgruchotało go na proch, gdy pewnego razu poważył się ścisnąć go za rączkę podczas gier niewinnych?..

Miałże jeszcze wątpić o swem szczęściu, gdy pewnego razu widząc że bóstwo upuszcza chustkę, widząc że ten przedmiot nieoszacowany ma upaść na podłogę, rzucił się jak strzała i schwycił go w lot o trzy cale nad poziom podłogi... a że bóstwo jednocześnie nachyliło się po upadającą chustkę, przeto miał rozkosz swojem niegodnem czołem tak silnie uderzyć w niebiańskie czoło bóstwa, że oba czoła dostały po okazałym guzie, niby po pieczęci rajskiej kancelarji, wyciśniętej na przymierzu dusz i serc ich, w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach w obec niebios łaskawych zawartem?!

Miałże nie ufać swemu losowi, gdy bóstwo w kilka dni po owym guzie, obdażyło go gałązką konwalji, konwalji której całą wiązkę trzymało w swych rączkach?!

Miałże jeszcze powątpiewać? miałże jeszcze zwlekać? nie należałoż mu wyznać przed bóstwem co się dzieje w jego sercu—dziś jeszcze wyznać, jeżeli tylko pora stosowna się zdarzy?

Dziś jeszcze oświadczę się memu bóstwu, zawołał w głos pan Teofil, dumnem spojrzeniem ogarniając

zaułek, a to mu dało sposobność do zauważania, że zbliża się do głębokiego rowu napełnionego zielonawą wodą i błotem, przez który prowadził wązki mostek bez poręczy. O kilka kroków z przeciwnej strony mostku, jakiś człowiek prowadził na powrozie uczepionym do rogów byka, który pomrókiwał, wstrząsał łbem i usiłował mu się z rąk wyrwać.

— A, otóż i konterfekt widomy mego opiekuńczego a niewidomego znaku niebieskiego, pod którym wedle obrachowania cioci pono się urodziłem.

Zaledwie to sobie pomyślił, w chwili gdy znajdował się na samym środku mostku, pies jakiś wyskoczył z boku i zajadle zaszczekał na byka—byk przerażony, potężnem szarpnięciem wydarł się z rąk prowadzącego go człowieka i spuściwszy głowę do ziemi, wyciągniętym galopem sunął prosto na pana Teofila, który uchyliwszy się w porę nieco na bok, wprawdzie nie został wzięty na rogi, ale był w mgnieniu oka strącony niby piłka z mostku i wpadł do rowu jak długi.

— Masz tobie pierwszy dowód protekcji planetarnej, rzekł do siebie niefortunny młodzieniec, wydobywając się z cuchnącego błota—masz tobie sny pomyślne!.. otóż się doigrałem—a niechże go i z bykiem—ha, bydlę przebrzydłe!.. *(Dokończenie nastąpi.)*

TYPY PROWINCJONALNE.

II.

KRADZIEŻ KONI.

(Szkic z przeszłości.)

Pan Komornik*) był zawołanym amatorem i znawcą koni. Bezżenny i oddany wyłącznie zawodowi miernictwa, mniej zważał na mieszkanie, kuchnię i garderobę, ale za to wszystko łożył na konie. Miewał też zwykle dzielną jednostajną czwórkę, celującą w całej okolicy z czystej krwi i utrzymania godnego znawcy szlachetnych zwierząt. W domu, czy w drodze, codzień— skoro przetarł oczy, szedł do stajni i zapytywał farmana raz ułożoną formułą, niezmienną, jakby ją dyktował jaki rytuał uświęconej powagi:

„Czyścił, czyścił? Karmił, karmił? Poił, poił?”

Na co furman, powinien był odpowiedzieć i odpowiadał posłusznie:

„I czyścił, i karmił, i poił.”

Wówczas p. Komornik podchodził kolejno do każdego konia, zdejmował sam derkę, wyjmował świeżą chustkę od nosa i jednym jej rogiem mocno gładził konia, pilnie opatrując, czy niezostał na niej najmniejszy pyłek. Potem szedł do drugiego, trzeciego i czwartego konia, każdemu poświęcając róg jeden chustki i tak przekonany o nieskazitelności skóry swoich rumaków, wracał dopiero do pokoju. Niepotrzebuję dodawać, że wrazie przeciwnym, furman narażony bywał na ostre wymówki i musiał natychmiast doprowadzić zaniedbanego pieszczoszka do szklannego połysku, a gdy niedbalstwo powtarzało się częściéj, tracił służbę i odchodził bez świadectwa.

Pewnego razu p. Komornik będąc na zjeździe granicznym, powracał do domu razem z p. Sędzią.... znanym w swoim powiecie z wesołego humoru i ciągłych figlów. Chociaż p. Sędzia zapraszał go do swego powozu, bo kilka mil po jednej mieli przejeżdżać drodze, p. Komornik odmówił i pozostał na swojej bryczce, doprowadzonej do idealnej lekkości, bojąc się, żeby furman nieskrzywdził którego z jego wypieszczeńców. A miał wówczas czwórkę koni karych bez żadnej odmiany, bez żadnego włoska białego, albo popielatego, jednem słowem czarnych jak noc. Miał po drodze nocować u p. Sędziego, mieszkającego od miejsca zjazdu zaledwie o trzy mile; ale nieszczęście chciało, że w parę godzin po wyjeździe spadł deszcz ulewny, błoto na czarnej podolskiej ziemi rozgrzęzło i p. Komornik był w rozpaczy. Przy pierwszej więc karczmie, niedalej kilku wiorst od wsi p. Sędziego, chociaż słońce jeszcze było wysoko, umyślił stanąć na nocleg. Naprożno p. Sędzia przekładał o bliskości jego domu gdzie wygodniej odpocznie on i jego karosze, naprożno przekonywał że jeszcze dzień biały świecił, p. Komornik uparł się jak kozioł i kazał furmanowi zwrócić do karczmy. Sędzia po części przez gościnność, po części w tajemnym może zamiarze spłatania figla dziwakowi, umyślił dotrzymać mu towarzystwa. Podczas gdy przygotowywano herbatę i przekąskę, Komornik mył i opatrywał swoje konie i zaledwie po godzinie gdy wszystko było gotowe, wszedł do nędznej izdebki, przyrządzonej jakkolwiek przez Sędziego na nocleg. Po deszczu wyjaśniło się znowu, późny wieczór letni odkrywał widok na całą okolicę, w okrąg brudnej karczmy. Nasi więc podróżni po herbacie wyszli pod wystawę i paląc fajki gawędzili o tem i owem. Trakt był bardzo ruchliwy, ciągle przejeżdżały różne furmanki, jedne zatrzymywały się i po chwili odpoczynku ruszały dalej; inne mijały obojętnie karczmę; na nocleg nikt się niezatrzymywał, bo było zawcześnie. Sędziego niecierpliwiło to i gniewało, milcząc jednak czekał sposobności odwetu. W liczbie furmanek zatrzymujących się przed karczmą, była buda zaprzężona czterma karo-pstrokatemi końmi. Furman i dwóch podróżnych przybrani z mołdawańska, mówiąc jakimś złamanym językiem, weszli do karczmy, pochodzili po stajni, zamyślali niby nocować, ale potem pogadawszy coś po cichu na stronie, wypili wódki i pojechali dalej. Miny tych ludzi były podejrzane, a sposób obejścia zdradzał jakieś wahanie się, czy skryte zamiary.

— A co panie Komorniku — rzekł Sędzia — czy nie są to czasami amatorowie na twoje konie i czy nie chcą ci zaproponować facjendy na swoje pstrokacze?

Komornik nie lubił podobnych żartów. Najprzód przeżegnał się mimowolnie jakby dla odpędzenia złego ducha, potem splunął i milcząc poszedł popatrzeć na swoje konie.

Sędzia pierwej poszedł do pościeli, Komornik przestraszony widmem mołdawianów długo się nierozbierał i dłużej jeszcze nie mógł zasnąć, ale w końcu natura przemogła i zachrapał.

Gdy w tem, w stajni dał się słyszeć rumor i bieganina. Sędzia pierwszy posłyszał ten hałas i zbudził Komornika, ale sam nie miał potrzeby ruszać się z łóżka, bo zakłopotany Komornik równemi nogami zeskoczył z pościeli i jednym susem był już za drzwiami. Po chwili odezwał się w głębi krzyk donośny jakby lament i Komornik wróciwszy ze stajni, począł się coprędzej ubierać, wśród nieustannych wyrzekań i wykrzyków.

Rzecz była bardzo prosta. Koni Komornika niebyło, a na ich miejscu uwiązana do żłobu stała czwórka pstrokatych koni owych mołdawanów. Sprawa ta poszła złodziejom z łatwością, bo furman i lokajczuk Komornika pijani byli na śmierć, a służba Sędziego chociaż trzeźwa, spała w izbie szynkowej.

Komornik wziąwszy prawy but na lewą nogę, a lewy na prawą i naciągnąwszy szlafrok zamiast kamizelki, a na wierzch przywdziawszy surdut, prosił i zaklinał służących Sędziego, żeby dosiadłszy zostawionych koni, pędzili w pogoń. Żaden jednak niazgadzał się na to, przekładając konieczność pilnowania *pańskich* koni, a Sędzia składał się niemożnością nakazania im tego, czego widocznie się boją, bo mołdowanie nie musieli być bez broni.... Dobudzić zaś swoich służących nie mógł żadnym sposobem, chociaż zlał na nich najmniej po tuzinie wiader brudnej wody i prze-

*) *Komornikiem* w Gubernjach zachodnich, nazywają Jeometrę, Mierniczego. *(Przypisek Redakcji).*

wrócił na wszystkie strony. Zaledwie czasem, który otworzył oczy, coś zabełkotał niezrozumiale i znowu wpadał w nieprzytomność. Widząc się więc w ostateczności, namówił i zaprosił żyda arendarza, który zdecydował się jechać z nim razem. Dosiedli oba złodziejskich koni i pomknęli co tchu po błocie; że zaś należało zaopatrzyć się w środki obrony, zamiast więc batogów, Komornik uzbroił się w rogacze, a żyd w kociubę. Pędzili jak wiatr, ale Komornikowi zdawało się że jedzie na ośle albo na mule, nieszczędził więc razów koniowi mianym w ręku kuchennym orężem i żyda do użycia kociuby zagrzewał. Stanąwszy obok pierwszej po drodze karczemki odległej zaledwie o wiorst trzy, zatrzymali się i bili we drzwi i w okna robiąc ogromny hałas, żeby od mieszkających tam ludzi powziąść jaką wiadomość o złodziejach. Przestraszony żyd arendarz wyskoczył w bieliznie, Komornik zarzucił go pytaniami, że nic nie mógł zrozumieć, ale synowie Izraela porozumieli się lepiej. Przydłuższa konfidencjonalna rozmowa żydów i jakieś ruchy zdziwienia zaniepokoiły Komornika. Sądził, że jest otoczony spiskowymi jakiej bandy złodziei, sprzysiężonych na jego konie. Gdy w tem towarzyszący mu arendarz potrząsłszy jarmułką, bo czapki nie brał lub ją zgubił, przemówił do niego uniżenie:

— Wielmożny panie! Jakiego mi, z przeproszeniem zrobili glupstwa, a czego mi, na pańskich koniach, pańskich koni szukami?

— Jakto żydzie?... Co?.... jak to?

— Nu herštu, niech pan obaczi!

Komornik zeskoczył z konia, a przy jasnej nocy pomimo zbłocenia i zmęczenia, poznał swego naręcznego ogierka.

— Ale co? jak? kiedy one były pstrokate?...

— Nu, albo ja wim, wony byli srokate i nie pańskie — a teraz czarne i pańskie...

Komornik niemogąc sobie wytłumaczyć tego zdarzenia, ale pocieszony zarazem, postanowił wrócić do karczmy piechotą, prowadząc konia w ręku nakazawszy to samo żydowi. Tak idąc tryumfalnym marszem, zaledwie po dwóch godzinach zaszedł do karczmy, gdy już poczęło świtać. Sędzia był ubrany, upakowany i zaprzęgano mu konie. Stojąc pod wystawą, z trudnością wstrzymywał się od śmiechu patrząc na uroczysty powrót Komornika, zapytał go jednak poważnie:

— Co to ci się stało Komorniku? Czegoś pędził jak opętany szukać własnych koni, na własnych koniach?

Komornik był zły, przeczuwał, że w tem wszystkiem był jakiś figiel Sędziego, ale niemając żadnej poszlaki, nie mógł sobie czem innem wytłumaczyć całego tego zdarzenia, jak przesądną wiarą *w nasłanie diabelskie*, do czego żyd arendarz, filozofując w patynkach po błocie pomagał mu, składając winę na *domownika*, który tak ich otumanił.

Czeladź Sędziego wyćwiczona w podobnych sprawkach, wyparła się w żywe oczy że ani widziała, ani słyszała co się działo w nocy. Czeladź zaś Komornika rada była ze zręczności, że mogła wszystkiego się zaprzeć.

Komornik zżymał się i milczał, czując się jakby upokorzonym i w najlepszym razie gotów był uwierzyć, że mu ta fatalna przemiana koni, wydała się przez sen i sam dopuścił się takiego głupstwa. Potrzebując dać odpocząć naręcznym, Komornik nieprzyjął znowu zaprosin Sędziego do jego powozu i zaledwie około południa wjechał stępo na dziedziniec Sędziego parą końmi — prowadząc dwa drugie za bryczką uwiązane do półdrabka i otulone derami.

Wieczorem dopiero przy butelce węgrzyna i kilku przybyłych sąsiadach, Sędzia się przyznał, że kazał swojej służbie spoić furmana i chłopca Komornika i wyciętemi płatami z białego papieru okleić karosza, czego nagle przebudzony w nocy i mając w myśli mołdawianów, niespostrzegł; a w pędzie konie pogubiły sztuczne te centki. Z dwóch zaś pozostałych, p. Sędzia kazał je starannie poczyszczać....

Komornik tak zawsze mocno był uradowany, że nie stracił swoich koni i tak srodze obwiniał siebie za lekkowierność, że nie tylko nie uraził się na Sędziego, ale nawet podziękował mu za nauczkę i za karę, że odbiegł od *matematycznej* ścisłości, względem swoich koni, której nigdy nie zaniedbał przy miernictwie.

Jan Prusinowski.

DWA DYMY.

(BAJECZKA.)

Z ofiarnéj kadzielnicy wznosząc się dym wonny,
I wiodąc z sobą ludzkie modły i westchnienia,
Spotkał dymu czarnego pas — jak wąż ogromny,
Ciągnący z paszcz kominów wyziewy kamienia.

„Precz z drogi!” wrzasł dym wonny „wszak widzisz że wzlata
Ku Niebu dym ofiarny z złotej kadzielnicy,
Niosąc hymny uwielbień dla Stwórcy Wszechświata,
Gdy ty?! dym swój wywodzisz z kowalskiej kuźnicy!”

W tem ozwał się głos z góry: ,,Złączcie się zwaśnieni!
,,Niech się jeden przed drugim pychą niewzbogaca,
,,Bo Stwórca was obydwóch jednakowo ceni —
,,Dla Stwórcy równie hymnem: modlitwa jak praca.”

Jaśko Puchacz.

KAWIOR.

Ikra pochodząca z kilku gatunków jesiotra, urządzona i nasolona tak aby się dobrze zachowała, stanowi kawior, znany w handlu jako artykuł żywności. Rossja dostarcza go prawie wyłącznie dla całej Europy, a czerpie głównie ze swoich rzek wpadających do morza Kaspijskiego. Obfitość połowu jesiotra w rzece Ural, można porównać z połowem sztokfiszu przy skałach Nowej-Ziemi. Poławianie odbywa się w porze letniej, gdy jesiotry z morza udają się w górę rzek; a odbywa się na tak wielkie rozmiary, że jest obawa aby ryby kawior dające, zbyt prędko nie wyginęły.

Gatunki jesiotra, z których kawior mamy, są następujące:

1° *Jesiotr wyż* zwany w Rossji Bieługa, przebywa w morzu Kaspijskiem, Czarnem, Śródziemnem i w morzach północnych. Miewa przeszło 20 stóp długości; poławia się w większych rzekach wpadających do tych mórz. Z niego to mamy *wyzinę*.

2° *Jesiotr pospolity* mniejszy od poprzedzającego, przybywa także do naszej Wisły i Niemna.

3° *Jesiotr szterlet* zwany jesiotrem rusińskim, najmniejszy z jesiotrów, dorasta zaledwie 4-ch stóp, ale wydaje kawior najlepszy. Głównie żyje w morzu Czarnem i Kaspijskiem.

W tych wszystkich trzech gatunkach, waga ikry już oczyszczonej i do solenia przygotowanej, wyrównywa prawie $1/5$ części wagi całej ryby. Rybacy kawioru nie urządzają, sprzedają plony rybołóstwa przedsiębiercom, którzy zajmują się wszelkiemi następnemi czynnościami, tak około ikry jako i co do mięsa ryby, wyjąwszy fabrykację *karuku*, który się wyrabia z pęcherza i chrząstek, a jest czynnością rybaków otrzymujących te części napowrót od przedsiębierców. Powyższy rozdział pracy, pochodzi z warunków miejscowych: rybacy bowiem przy obfitym połowie zatrudnieni, nie mogą ryby urządzać, ponieważ zaś wyrób karuku jest ostatniem przy niej zajęciem i najpowolniej się odbywającem, mogą mu więc wydołać mając już czas wolniejszy.

Surowo jest zabronionem rybakom łowić jesiotra z powrotem do morza idącego; ciężka za to odpowiedzial-

ność czeka; zresztą sami krajowcy w skutek własnego przekonania, niedopuszczają się tego nigdy.

Ikra starannie oczyszczona z błonek i żyłek ją przeplatających, nieco się wyciska, przesusza i soli; sos, który z nasolenia powstaje, powinien doskonale ją przeniknąć. Zdarza się często, że niektóre jesiotry mają ikrę zupełnie białą; nie przedstawiając żadnej innej w swem usposobieniu, składzie, stanie zdrowia różnicy; kawior ten jest uważany za najdelikatniejszy i zachowują go na wyłączny użytek dworów. W ogóle, kawior ze szterletów i z jesiotra pospolitego, lepszy jest niżeli z wielkiego wyżem zwanego.

Nad rybakami rząd rozciąga dozór administracyjny, konieczny dla uniknienia zajść i sporów. Każde towarzystwo rybackie, obejmuje na czas wyznaczony część brzegów rzeki, która mu przypada. Przygotowują sobie narzędzia do połowu potrzebne i oczekują umówionego znaku. Gdy ruchoma massa w górę rzeki iść zaczyna, już rybakom odejść nie wolno ani odpocząć, dopóki przechód trwa. Ilość ryb bywa częstokroć zdumiewającą; olbrzymy pływające, niszczą wszelkie stawiane tamy i zapory — dla ich powstrzymania, armat nie raz użyć muszą.

Konsumcja kawioru największa jest w Rossji, w Polsce, a potem w Niemczech. We Francji mało go używają, gdyż daleko mniej jesiotrów przybywa do rzek w Ocean wpadających, mało też i ze Śródziemnego morza; nie urządzają też tego produktu u siebie, tylko poprzestają na sprowadzanym z zagranicy.



...Ony byli srokate i nie pańskie, a teraz czarne i pańskie (do str. 143-ej, szp. 1).
(Rysował i wyciął na drzewie Franciszek Szymborski).

Nie wiele możemy powiedzieć o jego wartości hygienicznej. Jest to bez zaprzeczenia jedzenie smaczne i posilne i wielu amatorów posiada; zdrowemu nie zaszkodzi, a w małej ilości użyty, może i słabszym żołądkom się przydać. Z resztą, każdy pod tym względem osobistem doświadczeniem kierować się musi. *Białodrzew.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Pani R. z Solca*, na zapytanie: czy lepiej być niedouczonym czy przeuczonym, odpowiedzieć musimy przedewszystkiem, co rozumiemy przez te wyrazy. Niedouczony jest zdaniem naszem ten, kto posiada wiadomości powierzchowne tylko—przeuczonym ten, który posiada ich zbyt wiele, lecz nie przetrawionych dostatecznie, bez systematu i ładu. Jedno więc i drugie jest złem. Jeśli zaś idzie o wybranie, które z dwojga złego jest gorszem, to bezwarunkowo oświadczyć musimy, że przeuczenie, jest szkodliwszem od niedouczenia. Taki człowiek który niedojadł, jest tylko głodnym, lecz jeszcze może się najeść, ten zaś który się przejadł, może zachorować i umrzeć! Kto się niedouczył może się douczyć jeszcze, jeśli się do tego weźmie poważnie i szczerze, lecz kto się przeuczył, musi się oduczać, co jest niezawodnie trudniejszem.

— *Panu Witalisowi M. w K.* W miodopłynnym rymopisie, panie Witalisie, który przysłać raczyliście w swym ostatnim liście, jest treść, werwa, dowcip, życie, lecz... zbyt nas chwalicie. Że pochwały tej tak szumnej przyjąć w swe kolumny już przez skromność się nie godzi, przyznaj pan dobrodziej.

— Autorowi wiersza „*Dumanie;*“ i księdzu Janowi z Janowa, który łaskawie nadesłał nam odę „*Do Aleksandra Grozy*“ oświadczamy, że prace te nie odpowiednie są do naszego pisma.

— Panu W. D. czeladnikowi krawieckiemu w Warszawie. Na zapytanie pana: zkąd poszło użycie wyrazu *kozy* w znaczeniu lżejszego więzienia, odpowiadamy: Że wyraz koza w powyższem znaczeniu, zdaje się pochodzić z Łacińskiego *claudere* (zamykać) ztąd *klauzura*, a nawet w starym języku polskim *kloza*, oznaczało więzienie. Z *klozy* więc, łatwo mogło powstać przepolszczone *koza*.

Zresztą pochodzenie wyrazów, bywa często przypadkowe. Za naszych czasów potworzyły się wyrażenia: *siedzieć w prochowni* (dom, gdzie kiedyś proch wyrabiano), *pójść na pawiaka* (więzienie przy Ulicy Pawiej), *umaczać ręce w oleju* i t. p.

— *Panu L. W. w Kijowskim powiecie.* Kardamon jest to ziarno rośliny tegoż nazwiska; rośnie ona w Indjach. Dawniej kardamonowe ziarna, jako mające własność rozgrzewania, używano do potraw, jako korzenie, do lekarstw i do wódek. Dziś wyszedł z użycia; w niektórych tylko naszych prowincjach, włościanie i drobna szlachta, używają go do kołaczy.

— *Panu P. N. z Inflantskiéj ulicy*, utrzymującemu że gra umiarkowana w domino, nie jest wcale szkodliwą i jest miłym sposobem zabicia czasu czyli spędzenia czasu—odpowiadamy: że wszelka rozrywka powinna także jednocześnie działać na zbogacenie sił ciała i ducha, a przy grze w domino, ani ciało długiem siedzeniem mordowane nic nie zyszcze, ani duch przybity do mydeł, dubeltówek i t. p., niczem się nie wzmoże. Spędzać czas czyli go zabijać—a spędzać. to jeszcze różnica. Można spędzać bezużytecznie i użytecznie, a z bajki idzie nauka:

Nie sztuka zabić, *dobrze* zabić sztuka.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*W księgarni*).

Księgarz. Mogę Panu polecić „Studja Ekonomiczne“ Trepki i Ekonomją, przetłómaczoną świeżo z francuzkiego.

Stary Jegomość (cierpko). Cóż to pan myślisz, że ja ekonom abym się ekonomją zajmował? Trzeba mój panie grzecznie obchodzić się z kupującemi.

Księgarz. Ależ proszę pana, ekonomja jest to nauka o bogactwie narodowem.

Stary Jegomość. Znam te ponętne tytuły; piszą o bogactwie, a nie dają go, piszą o miłości, a nie dają jej. Coż mi z tego! Ja sam przed Nowym Rokiem kupiłem zachwalony Kalendarz „Zdobywcę Serc“, a przecież dotąd żadnegom serca nie podbił (zdobył.)—Co po tytule kiedy próżno w szkatule.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.